ROZMAITOŚCI.

Dnia 2. Marca. **№ 9.** **Roku 1859.**

Założenie państwa Kentucky.

Według dzieła niemieckiego: „Pierwsi Amerykanie na zachodzie.“

I.

Pierwotny stan Kentucky. Daniel Boone.

Żyzna i rozległa przestrzeń ziemi od gór Kumberlandzkich aż po Ohio i Missisipi, gdzie dziś leży jedno z najznaczniejszych i najbogatszych państw Stanów zjednoczonych, rzeczpospolita Kentucky, była jeszcze w r. 1769. głuchą i bezludną pnszczą, tworzyła niejako szeroki, próżny przedział graniczny pomiędzy północnemi szczepami Delawarów, Szawanezów, Wyandotów itp. a szczepami południowemi Cherokeów, Chikazawów, Katawbów itp. I jedne i drugie plemiona zaganiały się w te strony za jeleniem i bawołem, ale gdziekolwiek zetknęły się z sobą, staczały zaraz krwawe i zacięte boje. Ztąd też powoli i na północy i na południu zrodziła się pewna odraza do dzikiej, bezludnej puszczy, która acz do zbytku obfitując w zwierzynę, coraz mniej przywabiała myśliwych, bo z każdą wyprawą zarówne dla obustronnych plemion łączyły się niebezpieczeństwa.

Rozmaite też nazwy nosił kraj ten dawniejszemi czasy. Indyanie mienili go na przemian „krajem środkowym, krainą krwi, krainą ciemności“, lub też *Kantuck-ce* czyli *kraina zielonej trzciny*, która w gęstych, wysokich zaroślach okrywała tuowdzie miasto trawy rozległe obszary kraju, i tak u Indyan jak i u europejskich skwaterów uchodziła za najlepszą paszę dla bydła i najpewniejszą oznakę urodzajności ziemi.

Pierwszym założycielem europejskich osad w tej krainie był skwater angielski Daniel Boone, zamieszkały w r. 1769. w północnej Karolinie nad rzeką Yadkin albo Great-Pedee, to jest nad owym strumieniem, co wypływając od wschodnich stoków gór aleghańskich przez południową Karolinę w południowo-wschodnim kierunku mknie ku morzu.

Daniel Boone liczył już w owym czasie lat 38 i żył na własnej swej plantacyi, otoczony liczną rodziną, bo oprócz żony i pięciorga dzieci miał jeszcze przy sobie młodszego brata. Urodzony na granicy ówczesnej Pennsylwanii (w dzisiejszem hrabstwie Bucks), pochodził z rodziny jednego z pierwszych katolickich osadników w Maryland. Ojciec jego podupadł na mieniu i przeniosł się do Reading a ztamtąd do północnej Karoliny, gdzie osiadł w pustyni i założył nową dla swej rodziny plantacyę.

Nie wiele wiadomo z życia Daniela Boone, nim przesiedlił się do Kentncky. Utrzymywano z początku, że w młodości swej bardzo tylko niedostateczne otrzymał wychowanie. Kto jednak odczyta jego krótki w r. 1783. napisany pamiętnik, gdzie do roku 1782. opowiada swoje życie i przygody w Kentucky, nie będzie mógł żadną miarą zgodzić się na to zdanie. bo człowiek bez wykształcenia nie umiałby w tak jasny i logiczny wyrażać się sposób, jak się wysłowia Boone w swym pamiętniku. Prawda że zachował się jego list z późniejszych czasów, gdzie każde niemal słowo napisane fałszywie, lecz być może, że właśnie jego późniejsze pięćdziesięcioletnie życie samotne w pustyni zatarło w nim ślady pierwotnego wykształcenia.

Na swej plantacyi w północnej Karolinie nie zajmował się Daniel Boone uprawą roli.

Zdał całe gospodarstwo na młodszego brata, a tego właściwie poczytywali wszyscy za właściciela plantacyi i zwano go powszechnie Squire Boone. Daniel lubił namiętnie polowanie i znajdował największą rozkosz błąkać się po dzikich, bezludnych pustyniach i lasach. Całe miesiące przepędził nieraz w oddaleniu od swej rodziny, a wracał zawsze z mnóstwem skór zwierzęcych do domu. Góry obojga Karolin przeciągali wówczas Katawbowie a nachodzili często Cherokeowie. Narażony na ustawiczne ztąd niebezpieczeństwa oswoił się Boone z walkami indyańskiemi, a kiedy podczas ostatniej francuskiej wojny, pomiędzy północnemi a południowemi plemionami indyjskiemi u wszystkich granic angielskich zacięta rozpasała się walka, służył Boone dłuższy czas z rangą oficera w korpusie kolonistów i skwaterów Karoliny i Georginii, który podobnie jak korpus wirgiński ulegał rozkazom angielskiego wodza.

Boone nadawał się wybornie na dowódzcę, obok doświadczenia i znajomości okolic posiadał w wysokim stopniu przymioty przezorności, odwagi i roztropności, co wszystko nabył w swych wyprawach. Słynął szeroko z swych przygód pomiędzy skwaterami, i wszyscy cenili wysoce jego zdanie. Nikt celniej nie strzelał od niego, jak nikt znowu nie dorównał mu w sile, bo jak mówiono łamał w palcach kord myśliwski jak kawał kija. Tak zawołanej sile odpowiadała i cała postać. Dochodził sześciu stóp wzrostem a odznaczał się herkuliczną budową.

Liczne inne niezwyczajne przymioty czyniły go zarówno łubionym jak poważanym. Mimo swego niespokojnego trybu życia, miał wiele łagodności w swym charakterze, w twarzy nawet przebijało się tyle spokoju i dobroduszności, że nikt nie mógłby się w nim ani domyśleć owego zuchwałego skwatera, co całe miesiące przepędzał śród puszcz i lasów i sam dobrowolnie na tysiączne narażał się niebezpieczeństwa.

Człowiek ten mógł prowadzić w swej plantacyi życie bez smutku i troski. Otoczony liczną rodziną opływał jak mało kto w szczęściu i przyjemności domowego pożycia. Dość zamożny nie potrzebował o żadne troszczyć się potrzeby, co roku zaś spławiał skóry i inne towary do południowej Karoliny i znaczne ztąd pociągał zyski.

Wszakże wszystko to nie zaspakajało go bynajmniej, jakaś niewidoma siła wyrywała go z objęć rodziny, zniewalała porzucać domowe ognisko i zapędzać się w świat daleki na nieprzewidziane losy i przygody.

Z szczególną prostotą i szczerością spowiada się Boone sam z tego swego dziwnego pociągu awanturniczego.

„Ciekawość, mówi, jest wrodzona duchowi ludzkiemu, a wszystkie osobliwe przedmioty wywierają silny wpływ na nasze zmysły. Kiedy wpływ taki porwie nas z sobą, to jest to tylko objaw tajnej woli nieba w stosownym czasie, i możemy się zawsze przekonać że uczynki nasze w takim razie odpowiadaja zawsze zamiarom opatrzności. I otoż widzimy dzisiaj jak niedawna nieurodzajna i dzikiemi zwierzętami napełniona puszcza Kentucky staje się żyźną i błogosławioną krainą......“

Pierwszy zamysł wyprawić się w głąb puszczy Kentucky przyszedł Danielowi Boone w lutym roku 1769. W plantacyi jego zgromadziło się wówczas wielu sąsiadów, pomagając mu przyrządzać cukier klonowy. Co wieczór po pracy zasiadali wszyscy społem i przy małej baryłeczce rumu albo whiskey w wesołą i poufną zapuszczali się gawędę.

W pośród gości znajdował się niejaki Finley, który przed dwoma laty szczególniejszym przypadkiem dostał się był w niewolę Indyan i przez puszczę Kentucky uszedł ich ręku. Oczywiście też nie opowiadał o niczem innem jak tylko o swych przygodach i swej ucieczce. A na cuda zakrawało, co prawił o krainie zielonej trzciny. W zimie i w lecie weseli tam oko zieleń roślinna, trzcina przerasta najwyższego człeka, a tuż zaraz rozściełają się kobierce najcudowniejszych kwiatów, wszystkie strony kraju opływają w jak największe bogactwo drzewa, klony cukrowe, orzechy i dęby białe świadczą wszędzie o szczególnych zaletach ziemi, a nad brzegami rzeki wznoszą się plantacye takiej grubości i wysokości, że nigdzie ani im szukać podobnych.

Wszędzie znajduje się największe bogactwo drzewa, ale nie tak jak w Wirginii lub Karolinie, gdzie człowiek musi lata całe wyrębywać i korczować, nim pozyska piędź jałowej ziemi, i szczupłą założy osadę. Kentucky to kraina błogosławiona, przez najgęstszy las można wygodnie przejechać na koniu, krzaku nie znaleźć nigdzie ze świecą. Finley cały dzień jeden jechał okolicą, która wydawała się raczej parkiem jakiegoś wielkiego pana

niż lasem w pustyni, bo na jednym całym niemal morgu, nie stało jak dwadzieścia drzew wszystkiego. Zrąbać tylko i wykorczować tych kilka drzew, rozruszać ziemię pługiem lub motyką, a jest już gleba pod zasiew ryżu.

Szczególniej jednak musiały opowiadania Finleya przynęcać myśliwców. Dziki, kosmaty bawół, co zupełnie już zaginął po tej stronie gór alleghańskich, błąka się w Kentucky w niezliczonych stadach. Finley widział na własne oczy, jak całe tysiące przemykały wzdłuż pagórka, z którego patrzył na okolicę. Ale obok bawołów spotkać tam można częściej stada jeleniów i danielów niż trzody bydła i nierogacizny w zamieszkałych okolicach. A jakie niezliczone mnóstwo ptactwa snuje się po kraju, aż uwierzyć trudno! Nie ogarnąć okiem stad cietrzewi po lasach, kuropatw wszędzie, a dzikich kaczek po rzekach. Jednem słowem Kentncky to raj, raj prawdziwy dla myśliwca.

Takie i tym podobne opowiadania zajęły silnie umysł Boonego i wzbudziły w nim nieprzezwyciężoną ochotę zwiedzieć na własne oczy tę krainę bajeczną. Jeśli nie myślał jeszcze wówczas o przesiedleniu się w te strony, to zawsze mógł z łowów znacznych spodziewać się zysków. Na pierwszym razie chodziło tylko o to, jak najłatwiej dostać się do kraju.

II.

Pierwsza wyprawa Daniela Boone na puszczę Kentucky.

Skwaterowie znali dobrze pasmo gór, co ciągnęło się pomiędzy Wirginią a Kentucky, ale nie tak łatwo wydawało się przeprawić na drugą stronę. Grzbiet gór zarosły swirkiem i głogiem, poorany mnogiemi rozpadlinami i wąwozami, a pozbawiony miejscami źródeł, odstraszał od dawna podróżnych.

Na szczęście umiał Finley uspokoić wszystkich pod tym względem. Znał jakiś wąwoz, który przerzynając wszerz całe pasmo gór, wygodną nastręczał ścieżkę.

Słysząc to, oświadczył się zaraz Boone z dwoma innymi, że gotów ważyć się wyprawy, byle tylko Finley wskazał mu drogę. Finley oczywiście rad przychylił się do tego, bo wiedział, że dając pierwszy popęd do odkrycia nowego kraju, może w pomyślnym razie świetnej spodziewać się nagrody.

Chodziło tylko o dalszych uczestników wyprawy, bo juściż niepodobieństwem było wybierać się we trzech. Finley miał znajomości pomiędzy skwaterami w osadach nad rzekami Clinch i Holchston w zachodniej Wirginii, postanowił też wraz z Boonem szukać ochotników w ich gronie; lecz zaledwie dwóch tylko udało się im namówić do niebezpiecznej podróży.

Mimo tak szczupłej liczby towarzyszy nie chciał Boone ociągać się ani chwili dłużej. Dnia 1. maja 1769. pożegnał się czule z rodziną, i pełen najlepszych myśli i nadziei puścił się w drogę.

Finley prowadził w góry wzdłuż rzeki Powell, która nie opodal łączy się z rzeka Clinch. Pierwszą trudnością dla podróżnych było przebyć górę Powell. Nie było to wprawdzie tak ciężkiem zadaniem, ale podróżni myśląc zaraz o następnych liczniejszych wyprawach, starali się za jednym zachodem odkryć i wytyczyć gościniec, którędyby na przyszłość mogły iść konie; a to właśnie najwięcej wymagało czasu.

Podróż na szczyt góry miała swoje powaby. Wysokie dęby jaśniały już wszędzie w świeżej, wiosennej zieleni, pośród gęstych połyskujących liści cukrowych jasionów, wyglądały zwieszone ku dołowi żółtawo-zielone kwiaty; wspaniałe, na 120 stóp wysokie a 7 stóp grube drzewa tulipanowe (*Liliodendron tulipifera*) okryły się już cudnym swym kwiatem, podobnym z kształtu do lilii, a lśniącym wnet złocistą, wnet czerwoniawą barwą; białe i żółtawe na przemian pęki kwiecia niższej i skromniejszej akacyi napełniały powietrze swą wonią balsamiczną. Nie mniej przyjemnie woniały kwiaty krzaczystego rhododendrionu, który z swemi jasnozielonemi u góry, a białemi u spodu liściami tak wiele zachwycił jednego z sławnych botaników późniejszych (młodszego Micheaux), że poczytał go za najprzyjemniejszą roślinę całej Ameryki północnej.

Wobec takiego uroku i bogactwa życia roślinnego snuło się po lasach niezliczone mnóstwo najrozmaitszego rodzaju ptactwa, przywabionego z ciepłych okolic południowych. Takzwany koci ptak (*Turdus lividus*), odzywał się z krzaków swym przeraźliwym głosem, tak podobnym do miauczenia kota, że cudzoziemiec mógłby się złudzić na prawdę.

Rozlubowaną w samotności, rzadko widywana kukułka amerykańska (*Cuculus Carolinensis*) powtarzała raz poraz swój jednostajny, donośny krzyk „kau!"; w nocy przerażały niemiłe tony małego ptaszka zwanego po angielsku whipperwill (*Caprimulgus vociferus*). Obok tego nieprzyjemnego krzyku odzywał się w gęstwinie szczególnie w pobliżu źródeł melodyjny spiew drozda leśnego (*Turdus melodus*). Mniejsze i większe stada ptaków przelotnych ciągnęły często jeszcze z południa na północ mianowicie papugi, ścieśnione w jedną gęstą, krętą gromadkę, dzikie gęsi w jednym długim sznurku, wreszcie stada turkawek i różnych drobnych ptaków śpiewających. Zwierzyny znajdowało się wszędzie do zbytku, piękny i zgrabny jeleń wirgiński pojawiał się bardzo często pojedyńczo i w całych gromadach. Na mniejsze zwierzęta jak wiewiórki itp. nie patrzyli nawet podróżni.

Po kilku dniach stanęli podróżni na wyżynie, okrytej wysoką trawą i krzakami. Ztamtąd widać było w odległości niespełna trzech mil angielskich, szereg piętrzących się skał, które stanowiły właściwy szczyt góry Powell.

Lubo punkt ten nie leżał wśród drogi, którą znał Finley, postanowili przecież podróżni wydrapać się na szczyt w nadziei, że ztąd najlepiej przedstawi im się kierunek gór, które dzieliły ich jeszcze od nowego kraju. Ujrzeli też na północno-zachodniej stronie pasmo drobnych wzgórz. Częste pomiędzy niemi jeziora świadczyły, że woda spływająca z szczytów nie miała żadnego odchodu, dalej na zachód wznosił się łańcuch wysokich gór, a w jednem miejscu szeroka rozwierała się rozpadlina, którą Finley mienił bramą do kraju zielonej trzciny.

Byłoto właściwie pasmo kumberlandzkich, a wyzierająca z pośród nich rozpadlina zwie się dziś Kumberlandgap i służy zawsze za przejście do Kentucky.

Góra Powell spadała w nieregularnych kształtach na dół, a cała okolica przybierała odtąd coraz wyraźniej zwyczajny charakter górskich okolic kumberlandzkich. Posępne jodły i cypressy zastąpiły tu spotykane niedawno jaśniejące w zieleni drzewa. Niskie na dwadzieścia stóp dęby karłowate z krzywemi i sękatemi konarami, czarną głęboko pomarszczoną korą i grubemi niezgrabnemi, łykowatemi liśćmi nie rozweselały wcale oka, podobnie jak i wątła, skąpo liśćmi okryta osika amerykańska (*Populus tremotoides*), niemiłe jakieś sprawiała wrażenie.

Żółtawy kasztan koński (*Aesculus flava*), gdzieindziej na 70 do 80 stóp wysoki, skarlał tu w drobny nieforemny krzak, jedyne bujniejsze w tych okolicach drzewo, kasztan amerykański (*Castanea vesca*), co tak pięknie i powabnie wygląda z swemi lśniącemi zielonemi liśćmi, nie może nęcić podróżnego o tej porze roku, bo kwiat jego nieprzyjemny rozsiewa odór.

Rzadko też odzywał się i głos ptaka w tej tak głuchej i posępnej ustroni, a zwierza nie spotkać było nigdzie po dniach całych. Przyciśnieni głodem musieli podróżni zapuścić się w głąb gór, ku owym stojącym jeziorom, które spostrzegli z szczytu Powellu.

Po kilkogodzinnym marszu natrafili rzeczywiście śród gęstych zarośli na jedno podobne jezioro, okryte całe stadami dzikich kaczek. Podróżni nie potrzebowali bynajmniej marnować prochu, aby się w dostateczną zaopatrzyć żywność. Jeden wystrzał, godząc w najbliższą od brzegu kaczkę, spłoszył tysiące dalszych rojów, ale te, co pływały przy brzegu ani ruszyły się z miejsca. Byłto rodzaj tak zwanych kaczek z jaskółczemi ogonami (*Anas acuta*), o których mówi naturalista Audubon, że same poddają się w ręce swych nieprzyjaciół.

Jak tylko posłyszały strzał ścisnęły się w gęstą kupę w około swej ubitej towarzyszki i kryjąc głowy jedna za drugą chciały niejako nie widzieć grożącego niebezpieczeństwa. Boone i jego towarzysze wleźli w wodę i samemi kordami myśliwskiemi tyle ich nabili, ile tylko unieść mogli.

W ten sposób mogli nasi skwaterowie zapewnić sobie z łatwością żywność w tak głuchym nawet ostępie, który w porównaniu z płaszczyznami Wirginii wyglądał na najdzikszą puszczę.

A i dalsze przygody podróży, nie były bez pewnego powabu. Pogoda sprzyjała ciągle, powietrze stawało się z każdym dniem cieplejsze, a noclegi pod gołem niebem, mogły uchodzić raczej za przyjemność niż niewygodę.

Niebezpieczeństwo nie zagrażało znikąd, przynajmniej nie było żadnego powodu obawy. Ztemwszystkiem nie zapominali podróżni o zwyczajnych środkach ostrożności. Zabierając się na spoczynek przenosili zawsze miejsca otwarte, aby na wszelki wypadek uniknąć nagłego zaskoczenia. Gdzie się rozłożyli na noc, rąbali i łupali zaraz drwa i

rozniecali dwa wielkie ognie, przy których piekli upolowaną zwierzynę. Po wieczerzy kładło się trzech tylko na spoczynek, dwaj musieli tymczasem czuwać na straży, i dopiero po czterech godzinach przyszła na nich kolej snu. Śpiąc miał każdy nabitą strzelbę przy sobie, aby na pierwsze hasło niebezpieczeństwa stanąć w pogotowiu do obrony.

Wszakże niebezpieczeństwo nie zagrażało z zewnątrz, w własnem tylko gronie powstawały niesnaski. Boone miał właściwie dowództwo nad całą drużyną, ale Finley wykluczał się z pod jego rozkazów, opierając się zapewne na tem, że dał pierwszy popęd do wyprawy i służył za przewodnika śród gór kumberlandzkich. Nieraz też sprzeciwił się otwarcie Boonemu, a sarkał zawsze głośno, ilekroć w czemkolwiek nie stało się po jego woli.

Boone, człowiek więcej czynu niż sławy, unikał starannie wszelkich zajść drażliwych a w najgorszym razie uciekał się do wzgardliwego milczenia. Wszakże stan taki niepokoił go bardzo, bo Finley miał zawsze po swej stronie jednego z towarzyszy, francuza Jakóba Monay, który słynął z siły, odwagi, zręczności i celności strzału. Sam też Finley był człek wypróbowanej odwagi i zawołanej celności strzału. Niepodobna było pozbawiać się ich towarzystwa, wszakże przy tak szczupłej liczbie całej drużyny musiało zależeć głównie na jedności i zgodności w działaniu, bo inaczej nie trudno było chybić celu samej wyprawy lub też nagle w jakie nieprzewidziane popaść niebezpieczeństwo.

Mimo to wszystko postanowił Boone unikać jeszcze gwałtowniejszego na razie starcia i dopiero przy jakiejś nadarzonej sposobności utrzymać powagę swego dowództwa.

W pośród tego stanęli nareście podróżni w wąwozie, który prowadził do kraju. Okolica była pusta i dzika jak w zapleczu, ale rozweselał ją cokolwiek mały strumyczek śród skąpych zarośli i krzaków.

Ściany wąwozu dzieliły się u wnijścia na kilka mil angielskich, ale zwężały się coraz bardziej im dalej szły w głąb. Po kilkudziennej podróży ujrzała się nagle drużyna w przesmyku, który zaledwie na dwadzieścia stóp szeroki wił się pomiędzy dwie wapienne skały.

Roślinność zamarła zupełnie w tym dzikim ostępie; ziemię okrywały oderwane bryły skał, a ściany wąwozu łamały się co krok w bezkształtne urwiska i przepaście.

„Idąc ciasnym i stromym wąwozem, aż strach zbierał rzucić okiem na szczyty dzikich roztrzaskanych skał — pisze dosłownie Boone. — Mimowolnie przychodziło na myśl człowiekowi, że stąpa pośród ruin nie Palmyry ani Persepolidy ale samej kuli ziemskiej.“

Strasznie uciążliwa była też podróż tym przesmykiem. Duszne i parne powietrze utrudniało pochód, a brak wody i wszelkiej żywności dojmował coraz srożej wędrowcom. Nareście przy schyłku dnia dotarli do małego, zaroślami otoczonego strumyka górskiego, który wytryskał z jednej z ubocznych skał, a lubo płytki i wązki niezmiernie przecież ożywiał posępną okolicę.

Odtąd inny już widok przedstawiał się podróżnym, wąwoz rozszerzał się coraz bardziej, wysokie brzegi strumyka okrywała bujna roślinność, a co kilka kroków na nowe napotykało się drzewa.

W pobliżu strumyka wznosiła się tu i owdzie amerykańska wiśnia (*Cornus florida*) o swym grubym a niskim pniu, a jasno-zielonych świeżych liściach. Biały buk (*Fagus sylvestris*) piął się na sto stóp wysoko odsłaniając gdzieniegdzie z pośród gęstych konarów swe zielonkowate pęki kwiatów. Dziki, na 30 stóp wysoki jasion (*Acer eriocarpum*) wychylał swe gęste gałęzie daleko ponad tło wody, wirgiński sumak (*Rhus typhina*) z wązkiemi spiczastemi u końcu liśćmi wystrzelał do góry nieregularnemi, dziwacznemi konarami, podobnemi do rogów jelenia.

Miejscami tworzyły rozliczne krzewy i drzewa karłowate, obrosłe bujnemi powojami, tak gęste i dzikie zarośla, że chyba który z drobniejszych zwierzów drapieżnych mógł znaleźć w nich schronienie. Na dalszych wyżynach znajdowały się w szerszych od siebie odstępach tak zwane białe i farbierskie dęby, rozmaite rodzaje orzechów tudzież rozliczne inne drzewa, świadczące o dobrej wprawdzie ale nie najlepszej ziemi. Wszakże z tej nagłej zmiany okolicy, mogli już na pewno liczyć podróżni, że kraj, do którego zmierzali, nie zawiedzie ich nadziei.

W pośród drzew i zarośli nie mogło oczywiście zbywać zwierzyny. Zaledwie też podróżni ochłodziwszy się cokolwiek nad zdrojem strumienia, zapuścili się dalej w głąb wą-

wozu, posłyszeli nagle z radością pożądany krzyk cietrzewi, a niebawem odkryto całe stado tych ptaków na małym ale rozłożystym krzewie.

Wszyscy podchodzili chyłkiem, aby ile możności zbliżyć się do krzaku, ale niecierpliwy Finley dał nagle ognia, a ubijając jednego cietrzewia ze środka, spłoszył całę resztę z krzaku.

Przyszło ztąd do jawnego starcia się między Boonem a Finleyem. Najgorzej jest bowiem strzelać w środek stada cietrzewi, bo wszystkie zaraz ulatują. Ubijając zaś po jednemu zawsze z rzędu tych, co siedzą najniżej, można wystrzelić kilkanaście razy, a stado nie spłoszy się z swego miejsca.

Finley nie chciał przyjąć nauki przewódzcy, a ten musiał zapowiedzieć mu otwarcie i wyraźnie, że nadal nie ścierpi żadnego oporu i w każdym wypadku będzie umiał zachować swą powagę wobec towarzyszy podróży, którzy dobrowolnie poddali się pod jego rozkazy.

Po tej niemiłej przeprawie udało się podróżnym napotkać drugie liczne stado cietrzewi, a idąc tym razem za radą Boonego, zaopatrzyli się za jednym zachodem w żywność na kilka dni. (d. c. n.)

ZBIORY ARCHIWALNE.

Krosno R. 1530.

Cech krawiecki nadaje sobie za przyzwoleniem rady miejskiej ustawy.

(Dokończenie. Ob. N. 7. i 8. Rozmaitości.)

Si socius diem obyret, nec interula(m) haberet, eid(em) pro pecunia e socioru(m) cistula accipienda pro octo g(rossis) | interulam emere debebunt, eu(m)q(ue) ad tumulu(m) vna cu(m) M(a)g(ist)ris deducere et o(mn)es officio funebri interesse s(u)b multa vni(us) g(rossi), idem senciend(um) si M(a)g(iste)r diem obyret aut M(a)g(ist)ra | Si tardiuscule venerit i(d) (est) p(ost) eua(n)geliu(m) mediu(m) g(rossum) dabit, nec nisi peracto sacro sub eadem multa abibit: Medietas m(u)l(c)tar(um) om(n)i(n)m ad pixidem imponi debet, et eciam ear(um) | pecuniar(um) medietas que ad rotam ponunt(ur), Alia medietas ad co(mmun)itatem: M(a)g(ist)ri ec(iam) vna(m) clauem ad socior(um) pixidem habere debent: Ceteru(m) eam pecunia(m) q(uam) socy | in pixidem repone(n)t, ad festum corporis Chri(sti) medietatem M(a)g(ist)ris quotta(n)nis dare debebunt, vt pro hac ceram emere(n)t, et alia ad laudem Dei spectancia fierent, | Aliam medietatem, propter necessitate(m) sibi seruabunt: Cum M(a)g(ist)ri ad festum corporis Christi cereuisiam eme(n)t, socy cum M(a)g(ist)ris compotandi habebunt | facultatem et Symposio interesse,

Gdyby towarzysz umarł a nie miał trumny, mają mu trumnę za ośm groszy z pieniędzy towarzyskich sprawić, a odprowadziwszy ciało na cmentarz z mistrzami, mają się wszyscy na żałobnem nabożeństwie znajdować pod winą grosza. Toż samo ma się rozumieć, jeżeli mistrz albo mistrzowa pożegna się z tym światem; a gdyby który się spóźnił t. j. po ewangelii przybył, albo przed ukończeniem nabożeństwa się oddalił, złoży grosz. Połowa wszystkich win ma bydź do puszki wkładana, także połowa tych pieniędzy, które do koła składają; druga zaś połowa na wspólny pójdzie użytek. Mistrzowie także mają mieć jeden klucz od puszki towarzyszów; zresztą powinni będą tych pieniędzy, które towarzysze do puszki złożą, dać każdego roku mistrzom na Boże Ciało połowę, aby za nią wosku kupili i cześć Boską pomnożyli; druga zaś połowę ku potrzebie zachowają. Gdy mistrzowie w uroczystość Bożego Ciała piwa kupią, towarzysze będą mogli częstować się z mistrzami i bydź na uczcie, lecz swego mają mieć podczaszego. Ktoby drugiego zelżywemi znieważył słowy lub czyją szarpał sławę, będzie musiał be-

et ipsi suu(m) habere debęnt pyncerna(m). Si quispiam verbis aliquem inhonestis impeteret, et in alterius fama(m) debacha|retur, vas cereuisie vt epotum sit adimplere tenebitur: Si manu(m) contra aliquem erexerit g(rossum): Null(us) in compotatione sociorum arma secum deferat | sub multa vni(us) grossi: Si euaginato gladio alter alterum aggrederetur, talentum cerę dabit: Nemo in socior(um) Symposio seu compotatione ludat, s(u)b | multa vni(us) g(rossi): Qui ludendo tunica(m) perluserit talent(um) cere dare tenebit(ur), Iterum deprehensus duo talenta, Si tertio tria: Quarto ex superhabun|danti ab artificio deicietur Null(us) sociorum diebus do(min)ic(is) aut apostolor(um) ferys locum inhonestum i(d) est lupanar seu fornicem petat, conuict(us) g(rossum) dabit, ado|lescens medium: Insuper si quispia(m) articuloru(m) artificium concerne(n)s hic obmissus esset, nichilomin(us) pro artificy consuetudine in suo vigore et acsi hic | insertus esset pro rato et grato eundem haberi volum(us): Proinde si quispia(m) temerario ausu aut neglectu sec(us) fecerit, talis iuxta multam eide(m) arti|culo decret(am) multand(us) erit: Vt aut(em) o(mn)ia et singula supradicta robur et vigore(m) perpetuę firmita(tis) sint habitura, p(raese)ncia scripta Sigillo Contuberny | n(o-st)ri iussim(us) muniri: Actu(m) **Crossnę** feria quinta post festum Concepcionis B(ea)te virginis: Anno a Christo nato **Millesimo Qui(n)gentesimo** | **trigessimo.**

czkę po wypróżnieniu napełnić piwem; a kto podniesie na drugiego rękę, da grosz. Nikomu nie wolno przychodzić na biesiadę towarzyską z bronią pod winą grosza, a gdyby jeden na drugiego gołem mieczem godził, da kamień wosku. Podczas biesiady towarzyskiej nie wolno nikomu oddawać się grze pod winą grosza. Kto przegra z siebie szatę, będzie musiał dać kamień wosku, powtórnie przydybany da dwa kamienie a za trzecim razem trzy: za czwartym razem nareście zostanie z rzemiosła wykluczony. Aby żaden towarzysz nie ważył się w niedzielę lub w święto Rozesłańców iść do nierządnego domu; przeświadczony da grosz a młodzian półgroszek. Nadto gdyby która, rzemiosła tycząca się ustawa tu pominięta została, mimo to jednak przez zwyczaj miała w rzemiośle wagę, tedy ją jakoby niniejszem objętą za obowiązującą poczytywać chcemy: gdyby więc kto z zuchwałości albo lekceważenia inaczej się zachowywał, karany będzie winą w tym rozdziale oznaczoną. Aby zaś wszystko, co się wyżej w ogóle i w szczególności przerzekło, wagę i moc trwale obowiązującą nabyło, niniejsze pismo pieczęcią Cechu naszego ztwierdzić kazaliśmy. Działo się w **Krośnie** we czwartek po uroczystości Poczęcia Najświętszej Panny, lata po Narodzeniu Chrystusa **Tysiąc Pięćset Trzydziestego.**

Oryginał pergaminowy, z którego powyższą osnowę łacińską przepisaliśmy, znajduje się w cechu krawieckim w Krośnie. Obszyte starannie w niebieskie płótno okruchy pieczęci królewskiej, zdaje się, iż od innego dokumentu wzięte zostały z obawy, aby akt przez zaginienie właściwych pieczęci (których, jak to dziurki z zielonym sznurkiem i dwoiste rozerznięcia z paskiem wnosić każą, było trzy) nie stracił ważności. Na domysł ten naprowadza nas okoliczność, że szerokość pozostałego w okruchach paska pergaminowego nie stosuje się do szerokości paska, do którego obszewka z okruchami przyczepiona, i że na owym pierwocie żadnego nie ma napisu, któryby o potwierdzeniu jego przez króla świadczył. Ogłaszając ów zabytek drukiem, czujemy się obowiązani wyrazić przy tej sposobności Panu Janowi Rozmuskiemu komisarzowi cechów krośnieńskich za chętne przysłanie oryginału najszczerszą podziękę.

We Lwowie 17go maja 1855. *Wolański.*

Znakomity historyk francuski Michelet wypoczywając po swych głębokich badaniach dziejowych, napisał jakby dla rozrywki dwa dziełka z dziedziny historyi naturalnej pod napisem *Ptak i Owad.* Do tych przyłączyła się najnowszymi czasy spora książka o miłości, która zapewne takim samym powstała sposobem, jakim według własnej spowiedzi autora dwa poprzednie ułożyły się dzieła t. j. „wykłuły się powoli w godzinach wypoczynku, rozmów popołudniowych, gawęd letnich i czytywania w wieczorach zimowych.“

Wszystkie te trzy dziełka doczekały się już kilku przekładów obcych, a pierwsze z nich *Ptak* wyszło świeżo drukiem J. Jaworskiego w Warszawie, także w tłumaczeniu polskiem.

— Przed niewielą laty silił się pewien ksiądz angielski dowieść cytatami z dzieł Szekspira, że wielki dramatyk musiał być koniecznie gruntownym znawcą biblii i głębokim teologiem. Nie minęły dwa lata jak znowu jakiś marynarz wystąpił z twierdzeniem, że Szekspir używając tyle trafnych wyrazów żeglarskich, nie mógł ich nabyć gdzieindziej jak tylko w dłuższej służbie okrętowej. Ktoś inny wreście mniemał, że wnosząc z wieln ustępów tragedyi Szekspirowskich, wielki poeta znał się nieporównanie na koniach i musiał być albo machlarzem albo przynajmniej zawołanym miłośnikiem koni. I tak tedy różne stany i różne zupełnie zawody siliły się upatrzyć w nim jednego ze swoich, bo ten geniusz uniwersalny odzwierciadlając cały świat w sobie, umiał szczęśliwą intuicyą czerpać swe aluzye i porównania ze wszystkich sfer życia i świata. Obecnie wydał prezydent najwyższego sądu angielskiego nie wielkich rozmiarów dziełko, w którem znowu dla fakultetu jurydycznego reklamuje twórcę Hamleta. Dziełko to nosi nazwę: *Shakespeares Legal Acquirements considered. By John Lord Campbell L. L. D. In a letter to I. Payne Collier Esquire. London Murray* 1869. Szanowny lord nagromadził mnóstwo takich ustępów z dzieł Szekspira, co opierając się na stosunkach prawniczych, świadczą jak niepospolitą biegłość posiadał autor w zawodzie prawniczym. Ztąd przychyla się lord do wyrzeczonego dawniej zdania Chalmersa, że nieśmiertelny dramatyk, nim się poświęcił scenie, był naprzód pisarzem u któregoś z adwokatów londyńskich. Tak mało wiadomo z młodości Szekspira, że można domniemywać się bardzo wiele ale trudno dowieść czegokolwiek. Sam Szekspir wyraziłby się prawdopodobnie w tym razie taksamo, jak niegdyś Jean Paul Richter, kiedy się unoszono nad jego wszechstronnemi wiadomościami: „Prawnik — rzekł — lubi porównania prawnicze, lekarz medyczne itd., ja zaś lubię każde byle dobre.“

— Wspaniałe przystrojenie nowej francuskiej sali stanowej *(Salle des Etats)* wznieca w Paryżu powszechne podziwienie. Pędzel pana Müllera znalazł tu szerokie pole popisu a założył sobie głównie uwydatnić apoteozę Cywilizacyi. Sufit składa się z pięciu części, i w pośrodku kopuły przedstawia samą tryumfującą Cywilizacyę. Na czterech oddziałach obocznych widać po prawej stronie Religię, po lewej Pracę, dalej naprzeciw stopni tronowych Wojnę a ponad tronem Pokój. Cywilizacya oświeca świat, wznosząc w ręku krzyż promieniejący. Po jej boku stoją Sprawiedliwość i Siła w towarzystwie Ducha praw i Filozofii. Francya siedzi na tronie, nad nią unosi się orzeł cesarski, u jej boku widać Zbytek i Wspaniałomyślność, w tyle w ręku Mądrości powiewa sztandar narodowy, którego strzegą Czujność i Miłość ojczyzny. U dołu geniusze zwycięztwa przedstawiają Francyi podbitą Algeryę. Historya zapisuje chwałę narodu. Dalej w odwodzie geniusze sławy szerzą po świecie umiejętności i sztukę. Religia po prawej stronie namaszcza Powagę królów, wpaja wierność w żołnierzy, pociesza strapionych i rozwiera niebo umierającym. Osobną grupę tworzą Pobożność, jak wybiera się w pielgrzymkę, Miłosierność, Ubóstwo uciekające się do Ufności w Bogu i Boleść którą pociesza Modlitwa. Tradycya zbiera święte pisma, które znoszą aniołowie, podczas kiedy Muzyka kościelna przygrywa hymn. Po lewej widać Pracę w rozmaitych postaciach społeczeńskich czynności. W pośrodku stoi Rolnictwo, a w różnych oddzielnych grupach Sztuka, Umiejętność, Poezya, Kontemplacya, Praca materyalna, Przemysł i Handel. Naprzeciw stopni tronowych postać na koniu śród pobojowiska wyobraża Wojnę, tego śmiertelnego wroga postępu. Ponad tronem przedstawiają różne nadobne postacie Pokój. Sąto Jedność, Szczęście familijne, Uciechy rodzicielskie; młode dziewczę pieści się z barankiem, żołnierz wypoczywa na snopie zboża a ośmielony panującą dokoła ciszą gnieździ się gołąb w jego hełmie. U spodu tych pięknych postaci Wojny i Pokoju wznoszą się ponad obudwoma wchodami dwa wielkie obrazy: naprzeciw tronu postać Karola W. na koniu, a przed nią przeciąga właśnie pochód tryumfalny, po drugiej stronie Napoleon na koniu. Weterani, Młodość, Sztuka w idealnych kostiumach składają mu do nóg wieńce i gałązki palmowe. Postacie sprawiedliwości, Wiary, Armii i Marynarki uzupełniają całość. Wszystkie dekoracye razem zajmują przestrzeń 1318 metrów i liczą 488 figur. Najmniejsza z tych figur ma dwa metry, największa cztery metry wysokości.

— Głośna temi czasy powieść francuska: *Fanny*, pióra pana Ernesta Feydeau, nie uszła surowej nagany celniejszych krytyków, lubo w całej Francyi tak wielkiej dobiła się wziętości. „Rozebrawszy nawet ten utwor ze szkodliwego wyziewu narkotycznego, który go owiewa — pisze jeden z krytyków — pozostaje pomysł całości potworny, niedorzeczny i psychologicznie fałszywy.“ I w samej rzeczy autor nie umiał inaczej ukarać wiarołomną żonę, jak wlewając w nią namiętną, niepohamowaną zazdrość nie o kochanka ale o zdradzonego męża. „Obok tego — pisze przytoczony powyżej krytyk — panuje w całej powieści ton zgniłego liryzmu, ton maligny; zbrodnia malowana zanadto rozkosznie, a kara dość fantastyczna wygląda na paradox, jeśli nie na jawną ironię.“

— Do kilku znanych zdawna w literaturze niemieckiej zbiorów poezyi historycznych przybył świeżo nowy podobny zbiór Karola Wagnera pod napisem: *„Poetyczna historya Niemców.“* Autor zebrał skrzętnie wszystkie celniejsze poezye niemieckie, osnute na tle historycznych wypadków, i ułożywszy je w starannym porządku chronologicznym. podał niejako całą historyę Niemiec w różnolitej poetycznej szacie. Pisma niemieckie pochwalają wybór wydawcy co do zamieszczonych w zbiorze utworów, a i dla jego własnych przypisków biograficznych i historycznych zachodzą tylko słowa uznania.

— Nakładem W. Rafalskiego księgarza, wyszedł zeszyt II. dzieła pod napisem: *Wykład początków fizyki doświadczalnej i stosowanej oraz meteorologii A. Gandta*, tłumaczony przez studentów medyczno-chirurgicznej akademii pod przewodnictwem St. Przystańskiego, profesora nauk przyrodzonych. Z drzeworytami J. Minhejmera.

Główny Redaktor M. Szrzeniawa Sartyni. *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*